

ZIEMIA

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY ILUSTROWANY
WYDAWANY Z ZAPOMOGI WYDZIAŁU NAUKI M. W. R. i O. P.

TREŚĆ: Pomorze. *Emilja Sukertowa*. Działdowo. *H. Wierciński*. Zemborzyce czy Puławy. *R. Kiellicz-Rayski*. Chłopi a sztuka. *Włodzimierz Fischer*. Baszta Herburtów w Felsztynie. *Dr. M. Nałęcz Dobrowolski*. Krzyż i kamień przydrożny. *Jerzy Graff*. Z zabytków roślinności pod Warszawą. Z piśmiennictwa. Kronika.



Ryc. 93.

Ze zb. Oddz. Kujawskiego P. T. Krajozn.

GÓRA ZAMKOWA W DOBRZYNIU NAD WISŁĄ.

Ważny punkt obronny na prawym brzegu Wisły w linii starych grodzisk i zamków: Zakroczym, Czerwińsk, Wyszogród, Płock, Dobrzyń, Toruń, Chełmno, Grudziądz, Kwidziń, Siedziba braci Dobrzyńskich.



„Polska nie docenia Pomorza“ mówił z żalem jeden z obywateli pomorskich do uczestników wycieczki krajoznawczej. Zdaniu temu, niestety, nie można zaprzeczyć: Polacy bardzo chętnie dążą na wybrzeże, ale przez Pomorze pędzą nocnym pociągiem, nie widząc i nie wiedząc, co się dookoła rozciąga.

A dookoła kraina piękna, bogata, zagospodarowana, zamieszкана przez lud pracowity, gospodarny, oszczędny a uczciwy. Marudzą tam czasem na drożynę „odkąd Polska nastąpiła“, ale serca to szczerze polskie, a miłość Ojczyzny nie mniejsza, niż w krakowskiej, czy wielkopolskiej ziemi.

Zalesione wzgórza, czyste, wielowodne rzeki, tafle srebrzystych jezior, stare zamki i fary krzyżackie, czyste, schludne miasta, nie zabrzydzone przez brudne chałaty i niechlujne bachory, składają się na prawdziwie ciekawe miejscowości, godne uwagi turysty.

Przytem Pomorze, to nasza jedyna droga na szeroki świat, to nasza ścieżka do Bałtyku, to w budowie gmachu Rzeczypospolitej węglowy kamień, podtrzymujący budowę, a więc tem bardziej na uwagę, sympatję i poznanie zasługujący.

Dodać należy, iż to ziemia tak bardzo bliska od Stolicy: 3—4 godziny drogi już nas na Pomorze dowożą. Wszystko więc wzięwszy pod uwagę, należy intensywny ruch wycieczkowy skierować do ziemi pomorskiej, by ją poznać i ocenić.

Aljan.

* * *

Uznając słuszność powyższych uwag, Redakcja zamierza w najbliższych numerach podać szereg artykułów o Pomorzu i miastach pomorskich. Cykl ten rozpoczyna dziś artykuł o Działdowie.



Emilja Sukertowa.

D Z I A Ł D O W O.

W połowie drogi z Warszawy do Grudziądza, około pięciu kilometrów od granicy pruskiej, pośród piaszczystych wzgórz i wiecznie zielonych torfowisk, nad rzeczką Działdówką, czyli Wkrą, która przepływa środkiem łożyska dawnego jeziora, osuszonego sztucznie przez Niemców w drugiej połowie 19-go wieku, rozpościera się ciche i schludne Działdowo. Odbudował je rząd niemiecki po dwukrotnym pożarze, który był skutkiem uporczywej i intensywniej akcji wojennej w latach 1914—15.

Dwa są powody, dla których to niewielkie, bo zaledwie 4000 mieszkańców liczące miasteczko posiada doniosłe znaczenie dla Rzeczypospolitej: jest to ważny, niezbędny węzeł na linii kolejowej pomiędzy Warszawą

a Pomorzem — i dlatego na kongresie Wersalskim został przyznany Polsce bez plebiscytu, — oraz ośrodek małego skrawka ziemi mazurskiej, skąd dziś duch polski promieniować winien za kordon, pomiędzy ludność mazurską, zniemczoną, lecz rdzennie polskiego pochodzenia.

Od stacji kolejowej długa, szeroka, lipami wysadzona ulica Dworcowa, która w drugiej swej części stanowi dzielnicę will — wiedzie do serca miasta, rynku obszernego, czworokątnego, obramionego ślicznymi, przypominającymi średnie wieki domkami, dwu lub jednopiętrowymi o facjatach wysokich i spadzistych jarzębinowej barwy dachach. Pośrodku rynku wznosi się ratusz, odrestaurowany świeżo podług planów budowniczego

miejskiego, inżyniera Bigo, który mu nadał styl polskiego odrodzenia. Nad portykiem, podtrzymywany przez dwie beczkowe kolumny widnieje na brązowej tarczy herb miasta: św. Katarzyna, dzierżąca w jednej ręce miecz, w drugiej narzędzie tortur. Na pierwszym piętrze znajduje się obszerna sala posiedzeń Rady Miejskiej, świeżo odrestaurowana i urządzona.

Na miejscu honorowym, na ścianie, umieszczono godło miasta, po obu jego stronach tarcze herbowe komtura ostródzkiego, Guntera v. Hohensteina, który był właściwym założycielem Działdowa. Dalej, na tej samej wysokości wzdłuż ścian, dokoła sali, wymalowane są herby wszystkich ziem polskich.

Archiwum naogół ubogie. Stare akta bądź spłonęły, bądź zostały dawno już wywiezione i złożone w „Tajnym archiwum państwowem“ w Królewcu, gdzie je oglądał prof. Wojciech Kętrzyński, pracujący nad dziełem: „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś książęcych“.

Burmistrz Działdowa, p. Rzyman, rodem ze Śląska Cieszyńskiego, z czcią przechowuje resztki pamiątek, a pomiędzy niemi fotografię najstarszego dokumentu, sięgającego 14-go wieku oraz piękny miedzioryt, przedstawiający złożenie hołdu królowi szwedzkiemu, Karolowi Gustawowi, kwaterującemu w Działdowie w czasie wojny z Polską, przez posłów tureckich. Napis, umieszczony na tym sztychu brzmi: „Rex Sueciae Missum ab Imperatore Turciei Legatum Mustafa Hanassa Aga. Audit Soldoviae anno 1656“.

Sala, przedstawiona na tym obrazie, musiała znajdować się na parterze, gdzie są jeszcze widoczne ślady odtworzonych przez artystę okrągłych sklepień okiennych.

Przechowały się dwa nazwiska radnych miejskich z końca XV-go wieku, a mianowicie: Brodowski i Człowiek.

Cały rynek doskonale, równo zabrukowany; cyfra 1860, ułożona z ciemniejszych kostek przed wniściem do ratusza, świadczy o tem, że tego właśnie roku po raz pierwszy bruk kamienny w Działdowie ułożony został.

W zachodniej stronie rynku przetrwały wojnę dwie kamieniczki o trzech oknach fron-

tu, z tych jedna narożna — gdzie, wedle opowiadań najstarszych mieszkańców, w roku 1863 więzieni byli czas jakiś pojmani i rozbrojeni przez huzarów pruskich powstańcy polscy, którzy nieopatrznie granicę przekroczyli.

Na dwóch przeciwległych krańcach miasteczka widnieją, dominując nad niem, w rui-



Ryc. 94.

Fot. W. Sokołowski.

RATUSZ W DZIAŁDOWIE.

nach będące, niegdyś warownie Działdowa — zamek krzyżacki i kościół. Oba te gmachy wzniesiono prawie jednocześnie na samym początku 14-go wieku, połączono je przejściem podziemnym i murem obronnym, który biegł dokoła miasta, założonego z rozkazu w. mistrza Ludwika Königa w r. 1344. Lokacja miasta na prawie chełmińskim poruczona została Polakowi, niejakiemu Mikołajowi z Karbowa; przeznaczono na ten cel 30 włók ziemiańskich.

Wspomnieć należy, że po zagarnięciu ziem pruskich i wytępieniu ludności tubylczej za-

częli Krzyżacy zaludniać te obszary uchodzącami z sąsiedniego Księstwa Mazowieckiego, którzy zakładali wsie i osady na wzór ojczysty. Przez wiele wieków, pomimo ucisku zakonu, później królów pruskich i ich urzędników, przechowali Mazurzy dawne swe rodzime zwyczaje, tradycje i „gadkę“ mazurską.

Gród i świątynia w Działdowie, wzniesione rękami ocalałych, lecz niewolnych Sasińców (odłamu szczepu pruskiego, który zamieszkiwał wschodnią część ziem pruskich),— jednakże przechodziły koleje. Na pograniczu Polski, oraz przy odwiecznym trakcie handlowym leżące Działdowo zajmowane bywało wielokrotnie przez wojska polskie: zdobył je Jagiełło, władał czas jakiś po zwycięstwie grunwaldzkim ks. mazowiecki Ziemowit, przyjął w poddaństwo wraz z innymi miastami Związku pruskiego Kazimierz Jagiellończyk, zajmował po wypędzeniu Szwedów Jan Kazimierz.

Zamek, wielokrotnie zniszczony, niebawem zwykle odbudowany bywał. Dziś, w głównym jego korpusie, który ze wszystkich jego zabudowań najlepiej się zachował, oglądać można stare, pierwotne fundamenty i podziemia, sklepione krzyżowo, spoczywające na jednym charakterystycznym, potężnym filarze, grube mury o wąskich i długich oknach, sklepienia w dwóch bliźniaczo podobnych salach, wreszcie części muru obronnego. Górna część zamku, dach wraz ze szczytami i charakterystycznymi krzyżackimi przyczółkami należą do nowszych czasów.

W salach wójtów krzyżackich odbywają się od czasu wojny nabożeństwa ewangelickie. Z prowizorycznej ambony, mieszczącej się zwyczajem tamtejszym nad ołtarzem, przemawia do zebranych, sędziwych, w czerni odzianych Mazurów ks. superintendent Barczewski, który, aczkolwiek polskie nosi nazwisko i jest rdzennym Mazurem, uważa się za Niemca i działalnością swą oraz wpływem szkodzi sprawie polskiej i pracy na polu uświadczenia ludności miejscowej.

Kaplica zamkowa ma swoje piękne tradycje. W 1701 roku została ona oddana przez króla pruskiego Fryderyka I na użytek miejscowej gminy kalwińskiej, która szczyliła się swym duszpasterzem, Franciszkiem Cassiusem,

zmarłym w 1775 r., gorliwym Polakiem, autorem słynnej niegdyś na Mazurach gramatyki polskiej.

Jest projekt, ażeby po odbudowie zniszczonego kościoła ewangelickiego i opróżnienia sal zamkowych urządzić w nich muzeum miejskie.

Podanie mówi, że niegdyś na zamku ukazywała się biała postać niewieścia i szła w podziemne przejście, co wiodło do Krzyżowej Góry, o milę za murem miejskim położonej, i że tam w onych podziemiach złe duchy więziły dziewczynę z Działdowa.

Sterczące po zbombardowaniu przez samych Niemców zrujnowane mury kościoła są dowodem warowności, potrójne zaś fundamenty każą się domyślać, że w różnych czasach bywała owa świątynia odbudowywana. W podziemiach, zasypanych gruzem, spoczywają trumny ze zwłokami wójtów działdowskich. Sądzę, że przy odbudowie kościoła, która ma nastąpić niebawem, można będzie poczynić pewne ciekawe odkrycia.

Kościół ten z chwilą wprowadzenia protestantyzmu i ogłoszenia sekularyzacji przez księcia Albrechta Hohenzollerna w 1525 stał się świątynią ewangelicko-augsburską. Posiada ona chlubne karty w dziejach swoich. W szeregu plebanów i arcybiskupów liczy takich kapłanów jak Tschepiusowie, z których Samuel był autorem wiekopomnej „Agendy pruskiej“ i „Kancjonału pruskiego“ od 200 prawie lat używanego przez Mazurów podczas nabożeństw. Syn Samuela, Samuel Ernest księgozbiorem, w Królewcu posiadanym, wprowadził w zdumienie znakomitego bibliofila — Józefa Jędrzeja Załuskiego.

Niestety, kościół ten należy dziś do panującego w Niemczech „wyznania unijnego“, czyli narodowego niemieckiego — „Deutsche Landeskirche“, wprowadzonego przez Fryderyka Wilhelma III w r. 1817. Parafja ta zależna jest nie od konsystorza ewangelickiego w Warszawie, lecz od specjalnego konsystorza w Poznaniu, na którego czele stoją sami Niemcy. Teraz jednak — kiedy gmach kościelny zostanie odbudowany za pieniądze rządu polskiego, należałoby położyć kres owej „deutsche Landeskirche“. Niechaj to będzie tak,

jak ongi przed wiekiem — ewangelicko-mazurska świątynia.

Od czterystu lat ludność powiatu działdowskiego była protestancką — dopiero w późniejszych znacznie czasach napływać zaczęła ludność katolicka, przeważnie narodowości niemieckiej; dla tej wzniesiono poza obrębem dawnego miasta kościół pod wezwaniem Św. Wojciecha, neogotyck, poświęcony przez biskupa warmińskiego w r. 1860. Kościół ten był jednym z nielicznych budynków, które ocalały w czasie bombardowania i pożaru miasta.

Działdowo posiada nowoczesne urządzenia, których mogłyby pozazdrościć niektóre wielkie miasta Kongresówki: gazownię doskonale prosperującą, telefony, hotele, bruki, świetne szosy, wiodące do granic powiatu, kanalizację i wodociągi, które mają piękną tradycję: pierwotnych planów dostarczył pono Mikołaj Kopernik. Na miejscu dzisiejszej gazowni znajdował się t. zw. Roehrteich, z którego zapomocą rur drewnianych rozprowadzano wodę po mieście.

Z pośród budowli, do użytku publicznego służących, zwraca uwagę gmach szkolny, obszerny, trzypiętrowy o wielkich oknach, przy ulicy Dworcowej położony, a odbudowanej jeszcze kosztem rządu niemieckiego. W tym budynku skupione są wszystkie szkoły wydziałowe. Nieopodal, przy tejże ulicy, w dwóch estetycznych, winem obrosniętych willach, będących własnością miejską, znajduje się szkoła rzemiosł i internat dla 150 chłopców polskich, którzy przed niespełna rokiem przybyli z głębi Rosji, drogą okrężną przez Japonję, a pozostających pod opieką Związku Obrony Kresów Wschodnich.

Nieopodal kościoła katolickiego w pięknie, przed wojną wzniesionem domostwie urządzone został dzięki staraniom i zabiegom dr. Tadeusza Michejdy, fizyka powiatowego, oraz starosty, p. Pawlicy, szpital miejski, robiący wrażenie komfortowej kliniki wielkomiejskiej.

Mówiąc o Działdowie, nie można pominąć milczeniem najbliższych jego okolic, w szczególności zaś lasku miejskiego, o 4 kilometry odległego, gdzie przed rokiem wykopano monety polskie, czeskie i angielskie

z 10-go i 11-go wieku, a gdzie Niemcy wzniesli pomnik swoim poległym w r. 1915. Z wierzchołką tego pomnika-wieży — można oglądać rozległe lechy mazurskie, tak po jednej, jak i drugiej stronie granicy położone.

Na jednym z cmentarzy spoczywają zwłoki 10 żołnierzy napoleońskich, poległych w zwy-



Ryc. 95.

Fot. J. Szeronos.

RYNEK W DZIAŁDOWIE.

cięskiej bitwie z Niemcami w r. 1807. Nikt jednak nie pamięta o tej zapuszczonej bractwie mogile...

Działdowo spolszczyło się znacznie w ciągu krótkiego czasu. Zmuszeni je byli opuścić Niemcy, szkodzący sprawie polskiej, wynieśli się ci, którzy optowali na rzecz Niemiec. Pozostali jeszcze po niemiecku mówiący mieszkańcy, których nazwiska, na szyldach umieszczone, mimo ortografji niemieckiej o polskim czyli mazurskim świadczą pochodzeniu: Schmagłowski, Sollteck, Koschewitz (Smagłowski, Żółtek, Koszewicz). Ci zniemczali Mazurzy stanowią dziś około 15% mieszkańców. Napływ znacznej liczby urzędników, wojskowych i inteligencji, rzecz oczywista, zmienił charakter miasta.

Ludność powiatu działdowskiego zachowała czysty staropolski język, bogaty w jędrne i piękne wyrażenia i zwroty. Wymowa przypomina wymowę Kurpi: biały, ziara, psieniądz (zamiast: biały, wiara, pieniądz). Im dalej od kultury pruskiej, tem lepsza polszczyzna; im bogatszy gbur (gospodarz) tem bardziej zniemczali, im uboższy — tem więcej przechował poczucia polskości.

Warunki ekonomiczne i polityczne, spa-

dek marki niemieckiej — wszystko to przeważało na szali, stąd zwrot ku polskości. Polonizacja systematyczna jednak idzie, podobnie jak za czasów niemieckich — przez szkoły. Dzięki energii i stanowczej postawie inspektora p. Klimosza, odsetek dziatwy, uczęszczającej do szkół niemieckich w całym powiecie spadł do minimum, tylko bowiem dzieci Niemców rdzennych uczęszczać do nich mogą. Wszystkie dzieci mazurskie uczą się religii po polsku, co zmusi ks. Barczewskiego do „wzegniania“ ich, czyli konfirmowania w języku ojczystym.

Pracę nad narodowym uświadomieniem Mazurów podjęło w chwili przyłączenia powiatu działdowskiego do Polski powstałe w czasie plebiscytu — Zrzeszenie Ewangelików Polaków z prezesem, p. Jerzym Kurnatowskim na czele. Staraniem niewielkiego grona osób, reprezentujących to towarzystwo, urządzono już w Działdowie w roku 1921 wystawę sztuki polskiej, oraz uroczystość, zwaną „Tygodniem Świętojańskim“; powstało seminarjum nauczycielskie, w którym dziś kształci się grupa młodzieży mazurskiej, nawet z za kordonu przybyłej. Seminarjum otrzyma nie-

bawem własny wspaniały gmach, którego budowa rozpocznie się z wiosną następnego roku.

W dniu 3 grudnia roku zeszłego odbyło się w obecności p. wojewody pomorskiego, Jana Brejskiego, uroczyste poświęcenie Mazurskiego domu ludowego. W specjalnie na ten cel zakupionym domu zbierają się Mazurzy, członkowie „Polsko-mazurskiego towarzystwa“, istnieje biblioteczka, a przed miesiącem związane zostało Koło Młodzieży Mazurskiej, które zamierza potworzyć filje w całym powiecie.

Od 10 miesięcy wychodzi „Gazeta Mazurska“, drukowana szwabachą, czyli gotyczkami czcionkami, a to dlatego, że dziś większość Mazurów nie zna łacińskiego alfabetu, wyrugowanego ze szkół mazurskich wraz z językiem polskim w r. 1872. Nakładem Zrzeszenia wydano kilka broszurek, a niebawem wyjdzie „Kalendarz dla Mazurów na 1924“.

Twarda to skiba — praca na tem polu postępuje powoli, wymaga wytrwałości i systematyczności. Jednak ziarno rzucone kiełkuje już — należy być tedy dobrej myśli: Działdowo spełni swe posłannictwo dziejowe.



H. Wiercieński.

ZEMBORZYCE CZY PUŁAWY.

Po długich i uciążliwych staraniach, udało się wreszcie Lubelskiemu Towarzystwu Rolniczemu uzyskać teren na urządzenie pól doświadczalnych w Zemborzycach pod Lublinem. Zdobyć ta jest tem donioślejszego znaczenia, że Uniwersytet Lubelski zabiega o utworzenie Wydziału Rolniczego, który nie mógłby się obejść bez pól doświadczalnych.

Czy jednak i kiedy uda się Uniwersytetowi przeprowadzić zamierzone projekty, rozstrzygnie o tem dopiero przyszłość i przyobiecana hojna ofiara założyciela Uniwersytetu Lubelskiego.

A nie będzie to rzecz łatwa i dająca się urzeczywistnić na poczekaniu, jak się to stało z urządzeniem wydziałów: humanistycznego i prawniczego w Lublinie, które, oprócz sal wykładowych i podręcznej biblioteki, tyżące przedmiotów wykładowych, niczego więcej nie potrzebowały. W przeciwieństwie do tych skromnych wymogów pomienionych wydziałów, wydział rolniczy wymagać będzie obszer-nych sal na pomieszczenie okazów przyrodniczych, na gabinety i laboratorja, pomieszczeń, jakich Uniwersytet Lubelski nie posiada, jak nie posiada funduszków niezbędnych na ich bu-

dowę. Natomiast zbiory naukowe znajdują dogodnie pomieszczenie w gmachach b. Instytutu rolniczo-leśnego w Puławach i pozostaną tam prawdopodobnie tak długo, dopokąd Lublin nie zdobędzie się na odpowiednie po temu gmachy. Z konieczności tedy młodzież, odbywająca studia rolnicze, zmuszona będzie odbywać te studia w Puławach. Pole doświadczalne w Zemborzycach, jakie ma zwać młodzież rolniczą na studia do Lublina, nie zaważy na tyle, ażeby mogło zastąpić brak gabinetów przyrodniczych i laboratoriów. Przewaga pozostanie tu po stronie Puław.

Ale pozatem jest jeszcze drugi względ bardzo poważny, przemawiający za Puławami, jako miejscem najodpowiedniejszym dla Instytutu Rolniczego: oto Puławy leżą wśród tarasu, spadającego z wyżyny lubelskiej ku nizinie nadwiślańskiej. Grunty rządowe, należące do Instytutu, zalegają powierzchnie, wznoszące się stopniowo od nasypów wiślanych poprzez pola puławskie i pole doświadczalne Instytutu, aż poza Końskowolę i Pożóg, równające się niemal z poziomem wyżyny lubelskiej, a różnica między wzniesieniem pierwszych a ostatnich wynosi zgórz 300 stóp i wyraża się różnicą średniej rocznej temperatury o cały 1° Cels. Dodajmy do tego różnicę naturalnej ciepłoty gleby: z jednej strony mady*) wiślanej lub piasków nasypisk wśród koryta Wisły, a z drugiej strony zimnych z natury pokładów lösowych na wzniesieniach wyżyny, różnica temperatury wzmoże się jeszcze. Gdy więc pola Zemborzyckie dają nam tylko jeden typ gruntu i jednolite warunki temperatury, właściwe wyżynie lubelskiej, to Puławy pozwalają nam korzystać z doświadczeń, przeprowadzonych w kilku różniących się od siebie (a przecież właściwych Polsce) warunkach gleby i temperatury, a tem samem bogatszy materiał nie tylko naukowy, ale nadto wypróbowany praktycznie. W samem województwie lubelskiem różnice te są tak wybitne, że rolnicy liczyć się z nimi muszą. Tak np. na nizinach powiślańskich: opolskiej i gołębskiej — wiosna przychodzi

o 2 tygodnie wcześniej, niż na wyżynie lubelskiej, natomiast zima w nizinach opóźnia się o 2 tygodnie w porównaniu z wyżyną, — tak zwaną przez powiślaków dąbrową. Na najwyższych grzbiecach wyżyny lubelskiej — w janowskim i zamojskim, w strefie buka i modrzewiu, różnice te zaznaczają się jeszcze silniej: gdy bowiem w nizinie powiślańskiej przy 8° Cels. okres wegetacyjny trwa blisko 8 miesięcy w roku, to na wyżynie lubelskiej, mającej średnią temperaturę 7° Cels. nie przechodzi on 7 miesięcy, a na najwyższych szczytach wyżyny jest jeszcze o parę tygodni krótszy. Te różnice klimatyczne powinny być należycie i praktycznie na kursach demonstrowane, Puławy przeto, jako mające nie całkowitą wprawdzie skalę tych różnic klimatycznych, ale bądź co bądź poważny materiał porównawczy, wysuwają się na pierwszy plan dla organizacji tamże pól doświadczalnych.

Te warunki przyrodnicze, nie dadzą się przenieść gdzie indziej, a mają za sobą tyle stron dodatnich, że te zwyciężyć muszą wiele innych i zmuszają do oglądania się na Puławy, jako na punkt odpowiedni dla studjów rolniczych.

Rozumieją to sami projektodawcy wzbogacenia Uniwersytetu Lubelskiego wydziałem rolniczym i przewidują, że gdy wykłady teoretyczne odbywać się będą w Lublinie, to natomiast wykłady, połączone ze studjami przyrodniczymi odbywać się będą w Puławach. Ma się to dokonać przez odpowiedni rozkład przedmiotów na różne lata studjów uniwersyteckich.

O ile za Puławami przemawiają warunki przyrodnicze i obecność zbiorów naukowych, o tyle przeciw nim mówi brak mieszkań dla młodzieży i trudne warunki egzystencji dla młodzieży niezamożnej; gdy bowiem w Lublinie młodzież uniwersytecka dopomaga sobie bądź to korepetycjami, bądź pracą po biurach i t. p., to w małych i zniszczonych przez pożogę wojenną Puławach na te pomoce liczyć ona nie może. Wprawdzie wykłady teoretyczne w Lublinie odciążą Puławom pewną część młodzieży, ale zawsze pozostanie jeszcze pewna liczba, o której byt w czasie kursów musi się społeczeństwo polskie zatroszczyć.

*) Mada wiślana = namól rzeczny, niezwykle urodzajny, tworzący warstwę gruntu ciepłego i bogatego w pokarmy roślinne.

* * *
W czasie, kiedy się ważą losy wydziału rolniczego przy Uniwersytecie Lubelskim, go-
dzi się wysunąć te wszystkie pro i contra

i poddać je rozważeniu tych sfer i tych czyn-
ników, które o organizowaniu fakultetu rol-
niczego w Lublinie decydować będą.



K. Kietlicz-Rayski.

CHŁOPI A SZTUKA.

Cóż może być przyjemniejszego na wsi podczas świąt nad przeglądanie pism? Wzią-
łem więc do ręki roczniki „Tygodnika ilu-
strowanego” i natrafiłem na artykuł Frenkla

swojem, podczas wakacyj będąc na wsi u śp.
rodziców moich w kieleckiem, malowałem
gruzy walącej się (dzięki Bogu!) gorzelnii. Pod-
szedł do mnie jeden z poważnych gospodarzy
miejscowych, postał długą chwilę i wreszcie
rzekł lekceważąco:

— „Nima ta co wielmożny pan robić
i tak sie ino bawi”.

Uwaga ta niemile mnie dotknęła; zamało
jednak byłem wymownym, by go przekonać.
Przekonała go dopiero wiadomość o sumie
wziętej za pierwszy mój sprzedany obraz.

Ów gospodarz leży w grobie, wody wiele
upłynęło od tego czasu. — to też miałem czas
zauważyć, że... nietylko chłopi się na rzeczy
sztuki tak czasem zapatrują.

* * *

W r. 1914, korzystając z uprzejmego za-
proszenia p. W., dyrektora cukrowni w Kle-
mensowie Ordynackim w Lubelszczyźnie, uda-
łem się tam dla zebrania typów i krajobrazów.

Stojąc raz na gościńcu, ujrzałem chłopa-
ka o zawadjackiej strasznie minie. Zaczepi-
łem go, proponując, żeby do mnie zaszedł, bo
chciałbym go odmalować. Nie miał nic prze-
ciwko temu, ale obiecał przyjść dopiero za
chwilę, bo się śpieszył po odbiór należności
z kasy cukrowni. Myślałem, że to wykret, bo
nie wszyscy chłopi chętnie się dają malować.
Tym razem jednak miałem do czynienia wi-
dać z inteligentniejszą jednostką, bo istotnie
zjawił się mój model i pozował mi przez pół
godziny, tłumacząc się, że czasu więcej nie
ma. Dałem mu 50 kop., prosząc jednocześnie,



Ryc. 96.

Z obr. K. K. Rayskiego.
TYP LUBELSKI.

p. t. „Chłopi” Reymonta na ekranie”. Prze-
czytałem po raz wtóry z przyjemnością opis
przygód artystycznych, tak żywcem wziętych
z natury. Że nas artystów chłopi mają za
„wałkonie, ścierwa”, miałem sposobność nie-
raz w praktyce się przekonać.

Lat temu wiele, kiedy byłem pacholęciem
wolnopracującym w przyszłym rzemiośle

by skorzystał z niedzieli i jutro przyszedł. Jakkolwiek obiecał, napróżno czekałem; chłopak się nie zjawił.

W kilka dni potem, przejeżdżając przez wieś, podjechałem do jego zagrody. Wskazano mi pole, na którym cała rodzina była zniwem zajęta. Tam się więc udałem, a ujrzawszy trzech braci, chłopaków jak malowanie, rzuciłem im „Szczęść Boże“ i zszedłem z pająka, by do nich się zbliżyć.

— Jasiu, bój się Boga, czemuż nie przyszedł, czekałem na ciebie przez całą niedzielę. Przyjeżdżam umyślnie, żeby cię prosić do siebie, bo chciałbym cię koniecznie skończyć.

Chłopak się uśmiechnął i odrzekł:

— Proszę pana, ja chciałem, ale ociec nie dali... jescem paskiem dostał, zem sie dał malować.

— Dlaczego?! To ja zaraz jadę do ojca uprosić ich...

— Niema ich w domu, pojechali z towarem do Lublina.

W tem miejscu najstarszy z nich się odezwał.

— A cy ci to pan za to malowanie zapłacił?

— A juści, dostałem pół rubla.

— No to lećże do domu i przynieś te pieniądze, bo trza panu oddać, kiej malowidło nie skońcone...

— Ale dajże spokój, przerywam mu, z chęcią bym ci jeszcze dopłacił za krzywdę, jaka ci się stała... Uproszę tatusia, żeby ci pozwolili przyjść.

Po minie jednak chłopaka widziałem, że upominek ojcowski silniejszym był argumentem od mojej prośby. Modela już więcej nie ujrzałem.

Dyrektor W., przejęty moim zawodem, oświadczył mi, że kiedy będę chciał dostać modela, to mi pomoże w tem jego pisarz, którego dobrze we wsi znają i lubią; że w sąsiedniej Wielonczy są trzy śliczne dziewczyny, któreby się z pewnością chętnie malować dały.

— To w takim razie proszę pana o łaskawe danie mi koni jutro, a spróbujemy szczęścia.

— Doskonale! odrzekł miły gospodarz.

Nazajutrz udaliśmy się do Wielonczy i zajechali przed chatę mamy z trzema córkami.

Wyszła gospodyni na nasze spotkanie, a podając nam rękę, zapytała, czego chcemy.

— Ten pan jest artystą-malarzem, rzekł mój kompan, chciałby wasze córki odmalować.

— Ano, one ta tera siano grabią na łące; ja tam zaraz do nich idę. Wsyćkie to trzy naraz mają przyjść?

— Nie, mogą po jednej, odrzekłem.



Ryc. 97.

Z obr. K. K. Rayskiego.

TYP LUBELSKI.

I poszła. Czekamy z dobre pół godziny— nic. Przez ten czas, niezwykłymi gośćmi zwabione dzieci zgromadziły się koło nas i cichym szeptem objaśniały sobie każde z narzędzi tortur malarskich. Trzech chłopaszków małych siedziało sobie na ławce przed chatą. Kazałem im siedzieć spokojnie i, znudzony bezczynnem czekaniem, wziąłem się do odmalowania ich. Kiedy szkic kończyłem, nadeszła gospodyni, a zobaczywszy podobiznę chłopców, uśmiechnęła się z zadowoleniem i rzekła:— Ady Wojtuś w kapeluszu, to jak królewic se siedzi! Wkrótce zeszyły się najbliższe sąsiadki, a wśród ogólnej rozmowy nasza gosposia zapytała niespodzianie:

— A pocóz tez ta panom to malowanie?

Pytanie to, z którym się nie po raz pierwszy zresztą spotkałem, wprawiło mnie w nie-mały kłopot. Na szczęście miałem przy sobie

człowieka wymowniejszego od siebie, niedar-
mo korespondenta „Gazety Świątecznej“, któ-
ry niesłychanie gładko wyłuszczył pytającej
cel malowania typów w zanikających coraz
bardziej strojach narodowych.

Już pędzle myłem i gąbką przecierałem
paletę, będąc zupełnie spokojnym, że z dzie-
wuchami w tece wrócę, kiedy nagle wywo-
dymego adwokata przerwała gospodyni:

— Ee! Panom ta nigdy nie trza wierzyć!

Bo ja ta wiem, cy wy tych malowidełnie
poślecie do Petersburga... a nam potem więk-
sze podatki płacić kazom.

Memu mniemanemu wybawcy język w tem
miejscu skołowaciał, mnie ręce opadły.

* * *

Nietylko w lubelskim tak się na sztuki
piękne zapatrują włościanie. Lat temu 20 kil-

ka w kieleckim robiłem kilkakrotnie studja
ze smutnego „Franka“. Raz, na jarmarku
w Lelowie, wita się on ze mną i prosi, bym
wszedł do sieni jakiegoś domu. Tam, obej-
rzawszy się na wszystkie strony, czy nas kto
nie podsłuchuje, szepnął mi na ucho:

— Wielmożny panie... względem tego ma-
lowania...

— Cóż takiego?

— A bo mi ludzie prec mówią, że ten, co
się daje malować, to go po śmierci djabli na
widłach po piekło wodzom...

Gdyby jednak tak było, rozmyślałem wy-
szedłszy z owej sieni, to piekło byłoby warte
zwiedzenia, boć najpiękniejsi ludzie tamby
się znajdowali.

Struża w kwietniu 1923.



Włodzimierz Fischer.

BASZTA HERBURTÓW W FELSZTYNIE.

W dziedzinie pamiątek naszej przeszłości,
a przede wszystkim zabytków budownictwa,
przyniosła nam wojna światowa wielkie, nie-
jednokrotnie niepowetowane straty. Z wyjąt-
kiem kilku powiatów zachodniej Małopolski,
Poznańskiego i Śląska reszta kraju doznała
bezpośrednich, większych lub mniejszych znisz-
czeń, które były znaczne, zwłaszcza we
wschodniej Małopolsce, a szczególnie na Pod-
karpaciu, gdzie długotrwałe, a zawzięte to-
czyły się boje.

Jedną z miejscowości mocno dotkniętych
przez działania wojenne, to Felsztyn, położony
w powiecie starosamborskim, w dolinie Strwią-
ża, gniazdo Herburtów, którego dzieje od XIV
wieku wiążą się ściśle z losami tego zasłu-
żonego w Polsce rodu.

Po Herburtach, którzy już w połowie

XVII wieku na Janie Lwie wygaśli, pozostał
tu, jako jedna z pamiątek, miejscowy kościół
parafjalny z XV wieku, w stylu gotyckim
wzniesiony, należący do najcenniejszych i naj-
starszych zabytków architektury we wscho-
dniej Małopolsce. Kościół ten posiada kilka,
znaczną zabytkową wartość mających, pomni-
ków rodziny Herburtów.

Dalszą pamiątką, to baszta obronna w po-
bliżu kościoła, służąca jako dzwonnica, wznie-
siona zapewne współcześnie z kościołem, a za-
tem w XV wieku; wreszcie pochodzący z ro-
ku 1603 klasztor i kościół o. o. karmelitów
w pobliskich Sąsiadowicach, również fundacji
Herburtów.

W czasie walk austriacko-rosyjskich,
w jesieni 1914 roku, kościół felsztyński zna-
lazł się na linii bojowej, w następstwie czego

doznał od strzałów armatnich bardzo ciężkich uszkodzeń.

Dzięki usilnym staraniom gorliwego opiekuna świątyni felsztyńskiej, księdza proboszcza J. Watulewicza, autora monografji: „Herbertowie Felsztyńscy i kościół parafjalny w Felsztynie“ — kościół w latach 1915 — 1917, zrekonstruowano, zabezpieczając i ratując to, co było jeszcze do uratowania.

Pod względem zabytkowym większą jednak stratą od zniszczenia kościoła jest zburzenie tak zwanej „baszty Herbertów“, — jednego z zabytków średniowiecznej architektury obronnej, zabytków, należących w kraju naszym dziś już do rzadkości.

Czworoboczna ta budowla z cegieł i kamienia składała się z czterech kondygnacyj, a zakończoną była attyką i blankami. Ściany dolnych starych kondygnacyj były gładkie, podzielone najprostszymi gzymsami; pierwsze piętro ozdobione było skromnymi arkadkami. Baszta ta miała pierwotnie charakter czysto obronny i służyła za ostateczny punkt schronienia w czasie napadów nieprzyjacielskich. Na szczycie jej czuwała stale straż, pilnie bacząc, czy nie ujrzy na widnokręgu łuny dalekich pożarów, niewątpliwego zwiastuna zbliżania się Tatarów, Turków lub Kozactwa. Dolna kondygnacja przeznaczona była na strzelnicę, w środkowych chroniła się ludność.

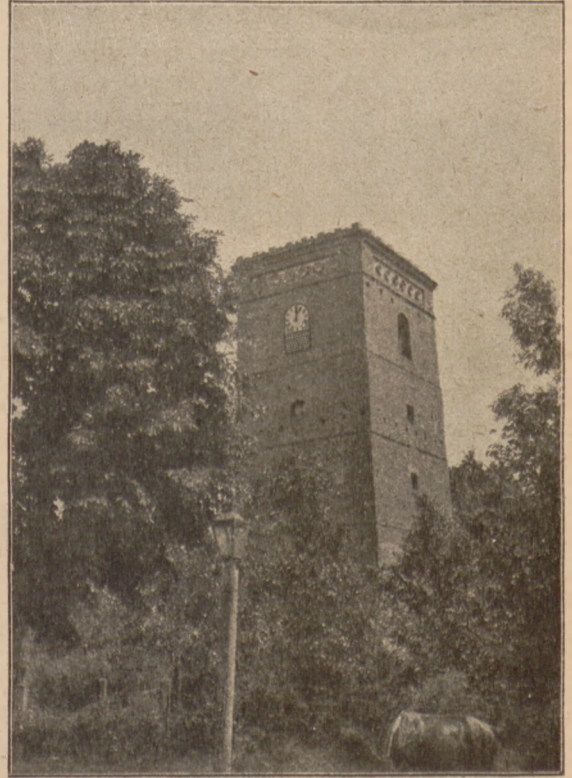
Dostęp do baszty utrudniały sztuczne środki obrony: wały z rowami napełnionymi wodą i brama wjazdowa, zamykana mostem zwozonym.

W tych czasach baszta nie należała jeszcze do kościoła, lecz do Herbertów, którzy czuwali nad należytem utrzymaniem w stanie obronnym tej fortalicji. Z upływem lat i zmianą stosunków strażnica Herbertów, tak pięknie dostrajająca się do kościoła, zmienioną została na dzwonnice.

W roku 1808 wskutek pożaru runęła szczytowa część baszty, która następnie pozostawała w stanie zupełnego opuszczenia, aż do roku 1863, do czasu, gdy kosztem ówczesnego kolatora kościoła, Stanisława Katińskiego, została odbudowana, z utrzymaniem dawnego stylu i charakteru. U szczytu

jej umieszczono zegar, niżej orła Herbertów.

Dopiero wielka wojna położyła kres jej istnieniu. W czasie zaciekłych, 27 dni trwających walk, jakich widownią w jesieni 1914 roku była okolica Felsztyna, wojska rosyjskie, uważając panującą nad całą okolicą basztę za niebezpieczną ze względów strategicznych, wysadziły ją w dniu 10 października 1914



Ryc. 98.

Fot. W. Filscher.

BASZTA HERBERTÓW W FELSZTYNIE.

w powietrze. Pozostała z tej czcigodnej pamiętki tylko dolna część, tj. brama wjazdowa ze sklepieniem zawalonym rumowiskiem i gruzami.

Proboszcz, ksiądz Watulewicz, i jego parafianie noszą się z myślą odbudowy strażnicy Herbertów. Niewątpliwie, że miłoby im było widzieć wznoszącą się przy kościele basztę, do której od lat tylu przywykli; — ale gdyby nawet udało się ją odtworzyć z całą ścisłością na podstawie zdjęć fotograficznych i pomiarów, zawsze nie będzie to już dawna, kilkuwiekową przeszłością dostojna strażnica Herbertów.



KRZYŻ I KAMIEŃ PRZYDROŻNY.

Wśród swoistych znamion widoków Białej Rusi są duże krzyże przydrożne z drzewa najczęściej przykryte dwuspadowym daszkiem.

Na płaskich polach i błotnistych łąkach, przy skrzyżowaniu dróg, stoją te wyniosłe drogowskazy chrześcijaństwa prostym kształ-

kawałki płótna, tak że krzyże są nieraz całkowicie pokryte oznakami pobożności wierznych.

Przy jednym z takich krzyży w Mińkowiczach (ziemia Mińska pow. bobrujski) widniał w r. 1903 kamień, zwany przez miej-



Ryc. 99.

Ze zb. P. T. Krajozn.

„PISENYJ KAMIEŃ” W MIŃKOWICZACH.



Ryc. 100.

Ze zb. P. T. Krajozn.

KRZYŻ PRZYDROŻNY W MIŃKOWICZACH.

tem (brak rzeźb i figury ukrzyżowanego Zbawiciela) oraz rozmiarami stanowią odrębną grupę przydrożnych krzyżów ziem dawnej Rzeczypospolitej.

Lud okoliczny w chwilach smutku i strapienia zwłaszcza podczas choroby jakiejś drogiej osoby wiesza na krzyżu chusty, ręczniki,

scowych ludzi: „Pisenyj kameń”, pokryty znakami głosek...

Być może istnieje jakiś związek symboliczny między krzyżem a kamieniem prastarym, doznaje on widocznie czci, bo włościanie kładą na nim dary w postaci zwojów lnu, chleba, obrazków świętych i t. d.



Z ZABYTEKÓW ROŚLINNOŚCI POD WARSZAWĄ.

W miejscowości Urle nad rzeką Liwcem znajduje się osobliwość, którą nasza Państwowa Komisja Ochrony Przyrody zająć się jak najprędzej powinna.

Osobliwość, to 2 dęby (*Quercus sessilis* Ehr) o obwodzie pnia jeden — 4,20 m, drugi 4,33 m*). Oba drzewa są całkowicie wypróchniałe, tak że w pniu może się wygodnie zmieścić 3—4-ch ludzi.

Rosną one w odległości 80 kroków jeden od drugiego, na szerokim wybrzeżu Liwca, jeden na skraju lasu olszowego (*Alnus glutinosa*), drugi nad małym stawkiem, w odległości jakich 20 kroków od drogi.

Dęby te rosną, niestety, w bliskim sąsiedztwie ludzi, którzy, nie zdając sobie sprawy z cennej wartości zabytków, niszczą je w sposób niekiedy wręcz barbarzyński. Kora jednego z dębów jest od dołu odłupana pociągami flowerowemi, których znaczna liczba tkwi w drewnie, grunt koło dębów jest zanieczyszczany przez bydło i... ludzi. A przecież wystarczy tylko b. prymitywne ogrodzenie, by dęby nietknięte przetrwały jeszcze długie lata.

*) Raciborski. Ochrony godne drzewa i zbiorowiska roślin. Kosmos 1909.



Ryc. 101.

Fot. J. Graff.

PIEŃ DĘBU W URLACH.



Z PIŚMIENICTWA.



Ochrona Przyrody. Organ Państwowej Komisji Ochrony Przyrody. Zeszyt III. Kraków 1922 r.

Odpowiednio do swego założenia „zetknąć się bezpośrednio z wszystkimi, którym drogą jest Polska Ziemia i którzy słyszą i rozumieją jej odwieczną pieśń życia, w której szare ludzkie życie jest tylko jednym akordem”, Państwowa (oby jak najprędzej!) Komisja Ochrony Przyrody wydała trzeci zeszyt, w którym, prócz sprawozdania z działalności komi-

sji, znajdujemy obfity materiał, dotyczący się organizacji ochrony przyrody (Pawlikowski, Szafer), artykuły o ochronie przyrody w Polsce (Kulesza, Stecki, Niezabitowski, Pawłowski, Demel, Sitowski, Kulczyński, Malitowski, Wodiczko, Łabendziński i Rouppert) oraz w Ameryce (Hryniewiecki i Lilpopp). Na specjalną uwagę zasługują artykuły Szafera: „Uwagi o celach i organizacji badań naukowych w polskich parkach natury”, w którym autor

przedstawia znaczenie i program naukowych badań w parkach natury, „Pieniny, jako rezerwat przyrodniczy“, w którym nietylko przedstawiono charakter i osobliwości przyrody pienińskiej (Sitowski), ale i projekt rezerwatu, zaopatrzonego w mapkę (Kulczyński), sensacyjną wiadomość o „lesie cisowym w Jasieniu“ (Malitowski), „Sprawozdanie z wycieczki po Pomorzu, odbytej w celach ochrony Przyrody“ (Wodziczko) i inne. Referaty te przedstawiają takie bogactwo materiału, że sprawozdawca, ograniczony miejscem, jest w kłopotcie, bo każdą wiadomością chciałby się podzielić. To też nie można pominąć najważniejszej wiadomości, a mianowicie faktu, że we wsi Jasieniu pod Radomskiem w 1914—1915 roku Pan Berek Fischman wyciął 50.000 sztuk cisów. Rzecz, w którą się poprostu wierzyć nie chce; to też te smutne resztki (6000 do 7000 sztuk), które ocalały z tego pogromu, należy ochronić za wszelką cenę.

Z działalności Komisji Ochrony Przyrody dowiadujemy się o ochronie roślinności stepowej pod Nakłem, o utworzeniu rezerwatu w Puszczy Białowieskiej, w Jaksicach i Bogucicach (Pińczowskie), o przypomnieniu rozporządzenia, dotyczącego ochrony rośliny „Mikołajek“, oraz sprawozdanie z IV Zjazdu P. K. O. P. w Warszawie. Sprawozdanie to, jak i akcja odczytowa P. K. O. P., wykazują

niezwykłą działalność komisji w całej Polsce. (Przykro tylko nam, gdy czytamy, że z Warszawy sprawozdania nie nadesłano). Szkoda tylko, że ze sprawozdań tych nie dowiadujemy się o losach innych rezerwatów, a przede wszystkim o Łysogórach, skąd dochodzą nas dość smutne wiadomości. Uważamy, i zbytęcne chyba o tem dowodzić, że kwestja rezerwatu w Łysogórach jest może dziś najbardziej aktualną.

Co się tyczy formy wydania trzeciego zeszytu Ochrony Przyrody — to podobnie, jak i poprzednie, jest wydane ze smakiem estetycznym: zdobi je czternaście pięknych tablic na kredowym papierze.

J. Kołodziejczyk.

„Acta Societatis Botanicorum Poloniae“ Vol. 1 № 1. Warszawa 1923.

W pierwszym zeszycie Organu Polskiego Towarzystwa Botanicznego znajdujemy dwa artykuły, dotyczące się flory polskiej, a mianowicie B. Pawłowskiego „Zapiski florystyczne z Tatr“, w których autor wymienia „szereg nieznanych dotąd miejsc występowania kilkunastu roślin bądź to rzadkich w Tatrach, bądź wogóle z nich jeszcze nie podanych i W. Szafera „Zapiski florystyczne“, w których autor dzieli się „z florystami polskimi wiadomościami o kilkunastu ciekawszych znalezieniach florystycznych“.

J. Kołodziejczyk.



K R O N I K A.

Oddział Kujawski. Uroczystość piętnastolecia pracy Oddziału odbyła się bardzo sympatycznie: rozpoczęło ją nabożeństwo przed Wielkim ołtarzem katedry, a po skończonem nabożeństwie ks. prefekt Wojsa przemówił do zebranych o znaczeniu pracy krajoznawczej. Przemówienie wygłoszone było tak pięknym stylem i z takim zrozumieniem i odczuciem

idei krajoznawstwa, że uznać je należy za najpiękniejszą mowę z wygłoszonych na uroczystości.

Po nabożeństwie uczestnicy zjazdu zwiedzali katedrę i jej pamiątki, oprowadzani przez ks. Prałata Gruchalskiego.

Następnie udano się do lokalu Oddziału, gdzie prezes, p. Antoni Byszewski, zagaił po-

siedzenie, witając zebranych i prosząc na przewodniczącego p. Nowcę. Ten udzielił głosu p. prezesowi Rady Miejskiej m-ta Włocławka drowi Piaseckiemu, który przesunął przed zebranymi dzieje piętnastu lat pracy na niwie krajoznawczej. Potem prezes Rady krajoznawczej, p. Al. Janowski, wygłosił referat na temat „powojenna depresja duchowa“, zaznaczając szkodliwość nieusprawiedliwionego pesymizmu narodowego, poczem prezes Oddziału Kurpiowskiego, poseł Adam Chętnik, przemawiał na temat „szerzenia idei krajoznawczej wśród ludu“.

Po południu zwiedzono gmach i bibliotekę seminarjum duchownego, a potem wystawę rolniczo-przemysłową, która na zwiedzających imponujące uczyniła wrażenie.

Zakończono dzień bankietem w sali kasy urzędników, gdzie mozolne obowiązki gospodyń pełniły pp. Byszewska, Olszakowska, Rutkowska, Makowska, Narębska i in., a niestrudzenie dopomagali im pp. Olszakowski, Makowski i Kwiatkowski. Szereg toastów dźwięczał tonem pokrzepienia na duchu, zwalczaniem pesymizmu, wiary w lepszą przyszłość narodu. W tym też duchu wypowiedziała podniosły wiersz p. Rakowiecka. Na wniosek p. Jasińskiego, delegata Oddziału Łódzkiego, zebrano doraźną składkę na rzecz Tow. Oświaty im. Adama Mickiewicza w sumie 850.000 mk., które p. prezes Nowca wysłał do prezesa tego towarzystwa, mecenasa Osuchowskiego.

Na drugi dzień rano zebrani udali się na drugi brzeg Wisły na wzgórze szpetalskie pod pomnik obrońców Włocławka, gdzie złożono wieniec.

Na zjazd przybyli pp. Kulwiec i Janowski z Warszawy, M. R. Witanowski z Piotrkowa, ks. Klein z Bydgoszczy, B. Jasiński z Łodzi, red. Sydow z Torunia, dr. Maciesza z Płocka, G. Moczarski z Gostynina, oraz wielu innych delegatów. Wszyscy zebrani gorąco podkreślali zasługi miejscowych pracowników krajoznawców, a zwłaszcza pp. Byszewskiego, Olszakowskiego, Kowalewskiego, Piaseckiego, Rajcy, Makowskiego, Kwiatkowskiego i in.

Oddział Poznański w udzielonym przez miasto lokalu w gmachach przy ogrodzie zoologicznym urządził b. wygodne schronisko

wycieczkowe na 20—30 osób. Ze wszystkich schronisk, jakie Towarzystwo Krajoznawcze urządziło, Poznańskie jest najsympatyczniejsze, schludne, czyste i utrzymane w bardzo miłym tonie. Jest to niewątpliwą zasługą zarządu, a specjalnie jego członka, p. Wilczkowiaka.

Na czele zarządu stał p. Bolesław Ślaski, zasłużony pisarz w sprawach kaszubskich, a po jego zrzeczeniu się godności prezesa z powodu choroby wzroku, przewodnictwem objął p. dr. Tadeusz Smoluchowski. Wiceprezesem jest p. prof. dr. Stanisław Pawłowski, a w skład zarządu wchodzi pp. Gardulski Bolesław, Przybylska Mieczysława, Hetper Zygmunt, Nowakowski Marjan, Wilczkowiak Władysław, Kryzan Seweryn, dr. Wojtkowski Andrzej, Kilarski Stanisław, Ks. Janicki, Motyliński i Sperczyński.

Wycieczka na Pomorze. W dwa dni świąt, 8 i 9 września, prezes Towarzystwa, p. Al. Janowski, poprowadził wycieczkę do Brodnicy, Lidzbarku i Działdowa. Złożona z 50 osób wycieczka zwiedziła te trzy miasta i spotkała się wszędzie ze szczerą i wysoce obowiązującą życzliwością ze strony Pomorzan. Nic może bardziej nie wiąże obywateli z różnych województw, jak właśnie takie osobiste zbliżenie się, poznanie wzajemne i wzajemna wymiana usług. Za serdeczne przyjęcie wycieczka składa także podziękowanie obywatelom Brodnicy, Lidzbarku i Działdowa.

Na rzecz sierot japońskich. Oddział Warszawski w dn. 12 września środowy swój wieczór poświęcił odczytowi o Japonii z przeznaczeniem dochodu na sieroty japońskie. Odczyt z pięknymi przezroczami wygłosił prezes, Al. Janowski, poczem p. Kołodziejczyk przesunął na ekranie filmy z życia Japonii. Filmy te bezpłatnie wypożyczono z Y. M. C. A. Sala była przepełniona, a mnóstwo osób odeszło od kasy. Czysty dochód przyniósł 3.000.000 mk., którą to sumę złożono w poselstwie japońskim.

Oddział Poznański zapewnia, że do jesieni wzniesie pod dach mury schroniska wycieczkowego w Pucku. Do całkowitego urzeczywistnienia tego planu brakuje mu tylko trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

Oddział Bydgoski ruchliwie spędził sezon wycieczkowy, przyczem rzucił myśl, aby wybudować schronisko pod górą Wieżycą koło Kartuz i postawić na szczycie tej najwyższej na pojezierzu Bałtyckiem góry (331 m) wieżę obserwacyjną. Wieża taka miała stanąć tam za niemieckich rządów, a na podstawie pomnika Bismarka miał być, czy nawet był napis: „alles ring ist deutsches Land“.

Oddział Wileński. Prezes Oddziału, prof. K. Sławiński, wyjechał na parę miesięcy do Rosji, celem rewindykowania narzędzi i przyrządów z gabinetów naukowych Politechniki Warszawskiej, wywiezionych przez Rosjan w r. 1915. Obecnie prof. Sławiński powrócił, przywożąc 86 skrzyń przyrządów.

Oddział Sandomierski wydał prześliczne pocztówki z widokami tego pięknego miasta.

Oddział Podhalański. W naszym domu wycieczkowym im. ks. Stolarczyka do 28 lipca r. b. wydano zgórą 10.000 noclegów.

Ofiary. P. Jan Berent, właściciel sklepu optycznego w Warszawie (Marszałkowska 80), ofiarował dla naszego Domu Wycieczkowego im. ks. Stolarczyka w Zakopanem barometr, hygrometr i termometr.

Książki nadesłane. Dr. *Zygmunt Federowicz*. Wypisy do nauki o Polsce współczesnej. Wilno 1923. Księgarnia Stow. Naucz. Polsk.

Dr. *Kazimierz Simm*. Muzeum przyrodnicze. Cieszyn 1924. Księgarnia B. Kotuli.

Dr. *Mieczysław Orłowicz*. Ilustrowany przewodnik po Mazurach pruskich i Warmji. Warszawa 1923. Książnica Polska.

Jan T. Dziedzic i Dr. *Paweł Ossowski*. Powiat i miasto Chełmno. Chełmno 1923. Wydział powiatowy.

Emil Lucjan Migasiński. Polacy w Paranie współczesnej. Warszawa 1923. Kronika Rodzinna.

Al. Janowski. Wycieczki Krajoznawcze. Wskazówki metodyczne. Warszawa 1923. Ignis.

Al. Janowski. Program polityczny Polaka Uczciwego, skrót pracy p. Stanisława Bukowieckiego. Warszawa 1923. Redakcja Siewu.

M. Bogusławska. Brodnica.

Czasopismo geograficzne. Organ Zrzesz. Polsk. Naucz. Geografji pod redakcją dyr. Juljusza Jurczyńskiego. Łódź—Warszawa 1923.

Z polskiego brzegu. *Pawłowski Stan., Jakubski A., Fischer A.* Biblioteka Przyrody i Techniki. Książnica 1923. Lwów—Warszawa.

Polska Współczesna. *St. Pawłowski, J. St. Bystrzeń, A. Peretiatkowicz*. Książnica 1923.

P. SOSNOWSKI KARPATY

PRACA POLECONA PRZEZ MINISTERSTWO W. R. i O. P.
DLA UCZNIÓW I DO BIBLIOTEK NAUCZYCIELSKICH

ADMINISTRACJA WYDAWNICTW: POLSKIE T-WO KRAJOZNAWCZE, KAROWA 31

Cena niniejszego zeszytu 15.000 mk.

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.

Redaktor: **Kazimierz Kulwieć.**

Wydawca: **Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.**

Drukarnia i introligatorka **Leona Nowaka**, Warszawa, Warecka 12.